OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 23 Sierpnia 1865 roku.

Nr 34. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

ŻNIWA W WĘGRZECH.

Charakter każdego narodu obrazują najwybitniéj zwyczaje domowego pożycia, a szczególniéj obrzędy i weselne uroczystości.



Młocka w Węgrzech.—(Wycięto w Sztutgardzie w drzeworytni Halbergera).

Na charakter zaś i usposobienie wpływa nietylko klimat, ale także do pewnego stopnia rodzajność ziemi, jaką naród jakowyś zamieszkuje. Im bowiem z większym trudem i mozołem przychodzi zaopatrywać się ludziom w pierwsze potrzeby życia, tem więcéj zastanawiać się zwykli nad swoim losem, nad przyszłością, co krępuje wesołość myśli i swobodę uczuć, a co wszystko odzwierciadla się znowu w wejrzeniu, ruchach i pieśniach rzewnie nastrojonych.

Naród Węgierski, osiedlony wśród żyznych ziem i nieprzymuszony do troszczenia się zbytnie o chleb powszedni; żywiący się przytem pokarmami posilnemi, zdrowemi, jak słoniną, wołowiną i baraniną a papryką zaostrzając apetyt, co wszystko popija jeszcze wytrawnem winem, jest zdrowy, silny, rzeźki, i odważny, niedający sobie jak to mówią dmuchać w kaszę, choć nie jest zawzięty i umie miarko-

wać gniew, w razie wyrządzonéj obrazy lub krzywdy. Do osobliwości charakteryzujących usposobienie Węgrów, zaliczyć także wypada ich zwyczaje, około główniejszych zajęć gospodarczych, jakoto: żniw, winobrania i młócki dokonywanéj w polach, z czem tutaj czytelników zaznajomić przedsięwziąłem.

Klimat ziemi Węgierskiéj, jakkolwiek umiarkowany, w porze letniéj odznacza się jednak silnemi upałami. Zboża szybko wtedy dojrzewają, a zaledwie żarzący się prawie skwar, wyzłoci ciężarne, zielone niedawno kłosy, w polach cichych i pustych rozlega się głośny gwar po rozległych przestrzeniach i szczęk kos, pod któremi przewalają się bujnie wyrosłe zboża. Posiadłości ziemskie, będące w posiadaniu jednego dziedzica, są tam jeszcze nadzwyczaj obszerne, a mała stosunkowo do obszarów uprawnych, ludność miejscowa nie podołałaby pracom, podczas zbiorów, dla tego w porze téj, ściągają na równiny kosiarze, z uboższych górzystych okolic Arvy, Liptawy, i Marmaros.

Pora żniw, dla biednych mieszkańców gór, gdzie zboża daleko późniéj dojrzewają, jest też z wielkiem upragnieniem wyczekiwana. Gorale ci są to właściwie sławacy, czerpiący swoje dochody w znacznéj części z zarobku podczas żniw u madzjarów. Zwykle w czasie tym otrzymują obfitą żywność, składającą się z chleba, słoniny, mięsa z papryką i cebulą przyrządzonego, a przy tem wino i osobne wynagrodzenie w pieniądzach, które całkowicie zatrzymują na potrzeby domu i rodziny. Również z otrzymanego pożywienia nie wszystko spożywają i zachowują głównie część chleba, słoninę i wino. Skoro zaś skończą się żniwa i nadejdzie chwila powrotu do gór, zaoszczędzone pokarmy, ładują w tak zwane tarisznie czyli torby, wyrobione z kozich włosów, a wino w drewniane flaszki lub wysuszone dynie, aby się tem podzielić z rodziną.

Żniwa te nie mogą jednak obejść się bez muzyki; codziennie wieczór, w pobliskie miejsce, gdzie spełnia się robota, przywożą z dworu pokarmy, wino, a z tem przybywa zarazem i muzyka, złożona z cyganów, na jakich to artystach sielankowych w Węgrzech nigdy nie zbywa. Po posileniu się więc i niejakim odpoczynku, następuje ulubiony taniec czardasz, który tak długo się przeciąga w noc, aż znużenie nie zapędzi do spoczynku, ostatnią najbardziéj rozochoconą parę tańczących.

Zaniedługo po skończonych żniwach zbożowych, przypada *winobranie* i to zalicza się prawie do najważniejszych uroczystości narodowych Madzjarów. Zwykle przypada ono najpierwéj na pochyłościach gór Hegyallya, Tatra, i Matra i na wszystkich niezliczonych wzniesieniach górzystych, które amfiteatralnie okalają doliny.

W porze téj roztacza się najjaskrawiéj oryginalny obraz pożycia ludu węgierskiego. Występuje ono w wybitnych formach niewymuszonéj serdeczności, gościnności, przyjacielskości, i otwartości co znamionuje szczególniéj ten naród.

Wszędzie wtedy panuje ogólna uciecha i głośna radość. Cyganie na swoich skrzypeczkach, rozwijają całą potęgę talentu, a krótkie pałeczki skaczą po cymbałach szalonemi uderzeniami, którym przybrzękują w takt ostrogi w pląsach ochoczego czardasza, nie pomijanego nawet przez starców. Przewodnicząca zabawie, najstarsza głowa domu, uśmiecha się do rozochoconych, pogłaskując srebrny wąs do góry, kiedy twarz promieni się nieokreśloną uciechą w gronie całéj rodziny synów, córek, wnuków i prawnuków, zazwyczaj gromadzących się w jedno kółko rodzinne.

Jeżeli gospodarz jest pochodzenia czysto węgierskiego, obraz jego fizognomji uderza swoją orginalnością i przedstawia typ jakiego w żadnym kraju się nie napotyka. Z pod czarnych rzęs, migocą oczy, jakby błyskawice; siła, energija i życie maluje się tak żywemi kolorami, że zdaje się widzieć jeszcze przed sobą bohaterów, jakby dopiero powracających z przesiąkłych krwią pól Mohaczu albo z pod Zenty, gdzie naród ten z nieprzyjaciół Chrześcijaństwa a potężnych wtedy Turków usłał ogromne, prawie żywe pagórki.

Gdy zmrok zapada, codziennie do zabawy panów przypuszczani bywają i robotnicy, dostając najlepsze wina i pokarmy, po czem tańczą, kiedy panowie zabawiają się strzelaniem, puszczaniem rac i innych ogni sztucznych.

Goście w czasie tym wielce też bywają pożądani. Doznają gościnności bez względu na wiek i stan. Każdy zostaje ugoszczony zarówno i jak najlepszemi potrawami, a sam gospodarz niejeden wychyla puhar za zdrowie gościa i jego rodziny.

Zabawa w gronie panów trwa zawsze prawie do białego dnia, a dopiero gdy już świtać zaczyna, zabierają się do spoczynku w spokojnych miejscach, aby zakosztować słodkiego snu, nabrać sił i doczekać obiadu, po którym na drugi dzień powtarza się znowu toż samo co wczoraj.

Przez cały czas trwania winozbioru, w tym samym porządku dzień po dniu odbywają się te zabawy, urozmaicane w gronie większych posiadaczy ziemskich odwiedzinami sąsiadów i polowaniem z chartami na zające, w czem biorą udział kobiety węgierskie znane z odwagi i energji.

Jednem słowem jest to chwila, w któréj węgier z puharem szumiącego wina, radby cały świat objąć ramionami i szczerze przytulić do serca.

Gdy się jednak skończy winozbiór, a z nim i uroczystość, znów stają się oględniejszemi i oszczędniejszemi w domowem pożyciu, aby nagrodzić to co niepohamowana szczodrość rozrzuciła.

Trzeciem ważniejszem zajęciem gospodarskiem, jest na Węgrzech młocka, któréj dokonywają w polach, i to wymłacając zboże końmi, na przygotowanych do tego miejscach, tuż koło ustawionych licznych i ogromnych stért, a to w ten sposób jak przedstawia nam załączona tutaj rycina.

Zwyczaj ten wymłacania i przechowywania zboża nie jest zalecającym się, ale więksi posiadacze ziemscy, którzy miewają corocznie ogromne zbiory z znacznych przestrzeni, jak to mówią, miodem i mlekiem płynącéj ziemi, z przyczyn małego stosunkowo zaludnienia, nie byliby w stanie inaczéj podołać potrzebie robocizny, jako to: zwożeniu do odległych stodół i t. p., dla czego zaraz na polu układają zboże w sterty i tam je młócą.

W porze téj równo ze świtem, wśród rozległych pól i niezebranéj jeszcze kukurydzy, a szumiącéj i kołyszącéj się przy rannym wietrze, pędzą dziarskie gromadki koni, ztąd i owąd ku stertom, prowadzone przez woźnicę w białéj z szerokiemi rękawami koszuli, w małym okrągłym kapelusiku zaciśniętym na długich gęstych i połyskujących włosach. Każdy taki woźnica wiedzie z sobą najmniéj 6 sprzęgniętych z sobą koni, a kiedy staje już na miejscu, zapala krótką glinianą fajkę, sadowi się w środ-

kowym punkcie do deptaka, rozwija długi bicz i natychmiast rozpoczyna się młocka. Do każdego takiego deptaka, przeznaczani są osobni ludzie, którzy opatrzeni drewnianemi widłami, zajmują się równaniem, zgartywaniem i świeżem podścielaniem zboża pod konie.

Młocki takiéj dogląda zawsze tak zwany ispan i ten rozporządza, czy już ma być zgarniętą wymłócona słoma, a nowa do młocki założona, czy też jeszcze domłacać należy.

Skoro zboże nie wymaga już dłuższéj młocki, woźnica odjeżdża natychmiast z końmi do poblizkiéj studni, tam je napawa, daje chwilę odpoczynku, sam znów nakłada krótką fajkę, a zaledwie świeże zboże na deptaku rozłożono, znów powraca z końmi do swojéj czynności.

Czy zboże zostało dokładnie wymłócone lub nie, o to bardzo się tam nie troszczą; zwykle w pobliżu utrzymują znaczne gromady ptastwa domowego jako to: kur, indyk, kaczek, gęsi, gołębi i prosiąt, którym dopiero powierzają ostatecznie dokładne wymłócenie, a które nadzwyczaj prędko wypasają się tym sposobem.

Czyszczenia ziarna po młócce również dokonywają na polu, gdzie dopóty wieją szuflami, dopóki czystego ziarna nie otrzymają.

W większych posiadłościach, na takich miejscach przeznaczonych do młócki, można znaleść naraz do 200 koni biegających w różnych kierunkach dokoła i jest to widok wspaniały, chociaż z drugiéj strony budzi się żal patrząc na niszczące się dary Boże, jako to ziarna i słomy, którą potem większéj części używają tylko na opał w mieszkaniach, a nawet do wypalania pieców w cegielniach.

Gdy się pokaże na polu sam właściciel, cała ta scena ożywia się nadzwyczajnie. Powstają: łoskot wiwaty, na cześć właściciela, a woźnice puszczają wtedy konie galopem, aby tylko przypodobać się panu. Jeżeli trafią na dobry humor, pan przyobiecuje im sprawić sutą wieczerzę, i wtedy zaraz wysyłają z grona swojego zręczniejszego chłopaka na koniu do najbliższéj wioski, aby na tę ucztę sprowadził i cyganów z muzyką.

Zaledwie też doleci głos dzwonu zapowiadający koniec pracy, woźnice pędzą golopem z końmi na pastwiska, aby swobodnie oddać się zabawie. Potem rozpalają w polu ogniska, a za niemi niedługo z pobliża ciągną już muły, obładowane pokarmami i winem.

Przy pogodnym wieczorze, sprawia to zajmujący widok. Rozłożone one dają obraz obozowiska, w którym ogorzałe od upałów twarze, rumienią się teraz przy płomieniach ognisk. Czarka z winem krąży do około koleją, przy okrzykach radości, a gdy już z daleka doleci głos skrzypiec i cymbałów, krew coraz silniéj zaczyna bić w pulsach, i pomimo utrudzenia dziennego, podrygują nogi do zrosłego z ciałem i duszą Węgrów czardasza.

Gdy się już suto ugoszczą i natańczą, gdy zwolna zamilkną skrzypki, gdy ostatni dymek uleci w powietrze z fajki, wszyscy zabierają się wtedy do spoczynku pod gołem niebem, zakrywając się wełnistemi kocami. Na drugi dzień, jak tylko słońce wnijdzie, woźnice obmywszy rosą twarz i długie włosy, spieszą na pastwiska po konie. Te zwykle na głos swojego pana zbiegają się, zostają posprzęgane i swoim porządkiem znów zaczyna się młócka.

Po wymłóceniu wszystkiego zboża, kończy ten osobliwy obraz, zwózka ziarna do śpichlerzy.

Wózki osobnéj do tego konstrukcji, podjeżdżają zaprzężone we trzy a najmniéj dwie pary wołów, maści siwéj, srebrno połyskującéj, z rogami 4 do 5 stóp długiemi. Na wózki ładują natychmiast zboże, i te ciągną ku śpichlerzom jeden za drugim.

Przy każdym wozie postępuje zwolna woźnica, opatrzony długim prętem i ciągle prawie rozmawiający ze swojemi wołami, z których każdy ma osobne i właściwe sobie nazwisko.

Charakter i usposobienie tych wolarzy zupełnie są odmienne od usposobienia pasterzy; o ile pierwsi są powolni i niezręczni, o tyle drudzy odważni i zwinni, czy to przyjdzie dosiądz w pędzie stepowego konia, czy pohulać, czy zanucić, czy nawet wyrządzić komu jaką niewinną psotę.

Na tem kończę jeden z rysów charakterystycznych narodu, który bohaterskiemi bojami z Muzułmanami, zasłużył sobie na sympatją i pamięć chrześcijaństwa.

Zygmunt Jaroszewski.

PRZED OCHRONĄ.

Pierwsza dziewczynka.

Kto ciebie ubrał w te kwiaty,
Wpięte we włosy przecudnie,
I w taki welon bogaty?
To na processję w południe?

A jaka biała sukienka,
I bardzo musi być droga!
Tyś jak bogata panienka,
Choć mama twoja uboga.

Druga dziewczynka.

Myślisz, że biedna jest mama?
Co ma jedzenia, co ciasta!
Wszystko kupiła mi sama
I kwiatów przyniosła z miasta.

I splotła wianek do czoła
Aż się dziwili ciekawi;
Dziś weźmie mnie do kościoła
I przy processji postawi.

I będę szła przed obrazem,
Przy złotych chorągwiach cechu,
Z panieneczkami tam razem,
Grzecznie i cicho bez śmiechu!

A ty! czy nie masz sukienki?
Weź ładne pończoszki świeże:
Będziesz jak wszystkie panienki,
Jeśli cię mama ubierze.

Pierwsza dziewczynka.

Ja nie mam mamy... więc komu
Powiem o białe festony?
Tylko łóżeczko mam w domu,
A chleb i obiad, z ochrony.

Józef z Mazowsza.

PONIEDZIAŁEK.

KARTKA Z TEKI

Jana Zacharjasiewicza.

(Dokończenie. — Obacz Numer 33).

Szli różni ludzie, a wszyscy uciekali od trupa, natrząsając się z nieboszczyka, że był pijanicą, a zamiast w wódce znalazł śmierć w czystéj wodzie.

A Sobek płakał i zawodził, ale nikt go nie słyszał.

Po niejakiéj chwili obaczył Sobek dziada z długą siwą brodą. Sobek dawał zawsze jałmużnę, i rzekł do siebie:

— Dziadek będzie miłosierny dla mnie. Nie raz mu dawałem chleba. Podniesie mnie i umyje jak Bóg przykazał.

Dziad zbliżył się do trupa, przewrócił go kijem na drugi bok, plunął i rzekł:

— Héj pijaku, pijaku! Dawałeś mi chleb czarny a sam jadłeś biały jak słońce! Za to wezmę ci buty, na drugi świat możesz iść boso.

I zdjął mu dobre, nowe buty, trącił kijem i odszedł; Sobek chciał go zatrzymać jak kuma Macieja, ale dziad obalił go na ziemię i przeszedł po nim jak po płatku śniegu. Sobek płakał znowu i zawodził, ale nikt go nie słyszał.

Wreszcie powiedziano żonie o śmierci mielnika. Żona ubrała się w bekieszkę i wzięła korale na szyję. Sąsiadki przyszły z nią razem, aby ją pocieszać. Widząc ją pomyślał sobie Sobek:

— Otoż jedna istota, która przysięgła, że mnie nie opuści aż do śmierci.

Gdy młynarka męża obaczyła, przyłożyła fartuszek do oczu i zaczęła głośno zawodzić. Kumy i sąsiadki trzymały ją, aby z żalu nie zemdlała. Ale Sobek, który już był duchem, widział na wskróś przez czerwony fartuszek jéj piękne, czarne oczki, które były suche jak tareczki na Wszystkich Świętych. A gdy przez te tareczki do serca się spuścił, słyszał tam wyraźnie takie słowa:



I zdjął mu dobre, nowe buty,—(str. 272, szp. 1).
(Rysował Rudzki—wycięto w drzeworytni Tygodnika Illustrowanego).

— Dzięki Bogu, że ten pijanica już raz mi świat rozwiązał. Pójdę za czeladnika Grzegorza, który jest jako malowanie. Muszę dać na mszę świętą i każę dzwonić we wszystkie dzwony. Ludzie wezmą to za żal po nieboszczyku, bo tak być powinno, ale Pan Bog przyjmie to za podziękowanie, bo On jeden wie, ile przez pijaka wycierpiałam na świecie!

W pierwszéj pasji swojéj chciał Sobek wybić jéj dwa przednie zęby. Machnął pięścią kilka razy w prawo i w lewo, ale żona nie czuła tego bynajmniéj. Jakby na złość, wystawiła do niego prześliczne ząbki, które były białe jakoby kość słoniowa. Widząc Sobek niemoc swoją, zaczął sobie rwać włosy i rzewnie płakać, że nikogo nie zostawił na świecie, któryby go kochał, a przynajmniéj nad grobem jego zapłakał! Wszyscy cieszyli się, że pijanica już raz kark sobie złamał, i że więcéj ludzi nie będzie napastował.

A kiedy Sobek tak bolał i rozpaczał, zbliżył się do niego jakiś cień z papierami pod pachą, podobny do amtsdinera z becyrku [1]). Rozłożył papiery i zawołał:

— Sobek ze Skołoszowa!

— Jestem, odpowiedział Sobek, a skóra zadrżała na nim od pięty aż do głowy.

— Masz się natychmiast stawić przed sąd Boga, zawołał woźny z drugiego świata, i dał Sobkowi takiego szturchańca pod żebro, że jak piórko do góry podleciał, i coraz wyżéj! wyżéj się podnosił, i wreszcie całą ziemię z oczu stracił.

A gdy Sobek po tak szalonéj podróży do siebie przyszedł, stał już w ogromnéj, złoconéj sali, i widział przed sobą czerwone gradusy tronu, który był osłoniony obłokami. A z obłoków usłyszał głos jakoby głos gromu:

— Sobku ze Skołoszowa! Jesteś wielkim grzesznikiem. Oddałeś się pijaństwu! Na Widaczu u Szmula piłeś całą niedzielę i poniedziałek, i kradłeś jeden dzień pracy w tygodniu! W poniedziałek młyn twój spoczywał i ty nic nie robiłeś! Przeto pada na ciebie wyrok, abyś do sądnego dnia w każdy poniedziałek sam młyn obracał przez całą dobę. Idź na ziemię i pokutuj!

Sobek poskrobał się w głowę i chciał na ten wyrok coś odpowiedzieć, jak to przed wójtem zwykł robić, ale ten sam woźny, którego widział nad rzeką, stanął przy nim, i znowu szturchnął go pod żebro tak gwałtownie, że Sobek za drzwi wyleciał i spadł na ziemię, tuż koło swego młyna.

A był to właśnie poniedziałek. Mielnika już dawno pochowali, a żona jego była gdzieś w gościnie z czeladnikiem Grzegorzem. Młyn jak zazwyczaj stał w poniedziałek, bo już wszyscy przyzwyczaili się do tego, że w ten dzień młyn nic nie miele.

Sobek siadł na spuście i zaczął dumać. Woda była zastawiona tak, że na koła nie leciała. Smutno, głucho było w całym młynie. Wtem usłyszał za sobą szelest. Obejrzał się i obaczył anioła z ogromną dyscypliną.

— Masz spełnić wyrok i młyn całą dobę obracać, zawołał groźny anioł, dziś poniedziałek!

Sobek pobiegł do zastawek, aby wodę na koła spuścić, ale żadnéj zastawki nie mógł w górę podnieść, bo nie miał mocy!

— I jakże to uczynię, kiedy nie mam żadnéj mocy, rzekł do anioła z dyscypliną, kłaniając mu się nizko.

Ale Anioł skrobnął go po plecach i rzekł:

— Dusza nie ma żadnéj mocy do rzeczy, co są na ziemi prócz téj, na którą skazał ją wyrok Boga. Masz własnemi rękami obracać koło młyńskie, a masz to czynić każdy poniedziałek przez całą dobę, aż do sądnego dnia!

A gdy anioł z dyscypliną znowu do Sobka się zbliżał, pobiegł tenże do koła młyńskiego i zaczął je ruszać całą siłą. Żyły trzeszczały mu w rękach, pot dużemi kroplami lał mu się z twarzy. Wreszcie

[1]) Woźny z urzędu powiatowego.

ruszyło się koło, a we młynie zaczął się hałas i tartas na mile odległości.

Sąsiedzi zdziwili się, usłyszawszy hałas we młynie, wiedząc, że młynarka wraz z czeladnikiem w gościnę poszła. Zbiegli się więc wszyscy i zaczęli się żegnać. Woda bowiem była zastawiona, a koło obracało się samo! Przyszła wreszcie żona z czeladnikiem i oboje zbledli ze strachu i pobiegli do proboszcza, aby przyszedł z święconą wodą. Proboszcz przyszedł i pokropił młyn cały i wyklinał nieczystego ducha, ale wszystko to nic nie pomogło. Wprawdzie krople święconéj wody piekły Sobka jak ołów roztopiony, bo był jeszcze nieczystym duchem, ale anioł trzymał go za kark i nie pozwolił mu uciecknąć z młyna.

Nigdy tak ciężko nie pracował Sobek jak w téj nieszczęśliwéj dobie. Krwawy pot lał mu się po skroniach, na rękach ponabiegały mu pęcherze, a kilka razy chwyciło go koło i pogniotło mu palce u prawéj ręki. Nigdy za życia nie miał wyobrażenia tak ciężkiéj pracy! A kiedy jutrzenka już zaświtała i wtorek się zaczynał, Sobek spadł pod młyńskie koło jak szmata zmięta i przez sześć dni wypoczywał tam i lizał palce, aby w poniedziałek znowu robotę swoją rozpocząć! I to miało tak trwać aż do dnia sądnego!....


widział gradusy tronu,—(str. 272, szp. 2).
(Rys. Rudzki—wyciął Olszewski).

Tymczasem ludzie powiadali sobie, że we młynie na Skołoszowie diabeł miele. Sąsiedzi pozabijali okna, które do młyna wychodziły, a majętniejsi postawili sobie chałupy na innym gruncie. Żaden żyd nie przyjechał ze zbożem do młyna, a gdy młynarka chciała go sprzedać, nie było nawet nań kupca! Poszła więc w świat z Grzegorzem czeladnikiem, a dzieci rozlazły się po świecie, żebrząc pod figurą i po odpustach. We młynie zamieszkały sowy i puszczyki.

Sobek patrzał na to wszystko i płakał rzewnie. Widział, że był powodem całego nieszczęścia! Przeklinał Szmula z Widacza i przeklinał tych wszystkich, którzy razem z nim w poniedziałek w karczmie siedzieli i pili!... Ale to wszystko nic nie pomogło! Co poniedziałek zjawiał się anioł z dyscypliną i pędził go do roboty. Sobek musiał obracać ciężkie koło, aż mu kości w pacierzu trzeszczały. A często gęsto i dyscyplina owinęła mu się w koło piersi i piekła jeszcze gorzéj jak święcona woda proboszcza z Radymna.


klęczał koło niego i krew mu z ręki puszczał.—(str. 273, szp. 2).
(Rysował Rudzki—wyciął na drzewie Olszewski).

I tak mijały długie, długie lata. Sobek płakał rzewnie i modlił się gorąco do Boga, ale anioł odpowiadał mu na to, że to wszystko już zapóźno, bo pan Bóg jest Sędzią nieubłaganym! Było o tem pierwéj myśleć, gdy się chodziło na Widacz. Pan Bóg długo, długo czeka poprawy grzesznika!

A młyn Sobka stał opuszczony i spustoszały. Woda nawet odeszła od niego i zrobiła sobie inne koryto. A pastuchy odpędzają w poniedziałek bydło swoje jak najdaléj od młyna, aby nie słyszeć jak w nim djabeł miele!...

Wszystko to widział Sobek i gorzko płakał i wyrzekał na karczmę na Widaczu i na Szmula z rudą brodą, bo to byli jedyni jego dwaj nieprzyjaciele, którzy go w to nieszczęście popchnęli!

I w téj strasznéj swojéj pokucie, doznał Sobek razu jednego pewnéj radości. Siedząc wraz z sową na kominie młyna, obaczył około północy, jak złodziéj jakiś podpalał Widacz, aby karczmę i Szmula wraz z pierzyną spalić. I rozjaśniła się twarz Sobka i rzekł do siebie:

— Przecież raz to przeklęte karczmisko i ten żyd na węgiel się spalą! Oni mi nie mało sadła za skórę zalali! Dobrze im tak! Już płomień chwyta się słomy!

Ale wkrótce przyszła mu myśl lepsza do głowy. Pomyślał sobie:

— Chrześcijanin nie powinien się cieszyć z nieszczęścia nieprzyjaciela swego. Przeciwnie zamiast zemsty, powinien go kochać, i miłością rozbroić złość jego.

Pomyślawszy tak, czepił się skrzydła sowy i wraz z nią do karczmy poleciał. I przyleciał właśnie w porę, aby podłożony ogień zagasić. A Szmul spał sobie pod pierzyną i marzył o jakiejś spekulacji.

A gdy się to stało, usłyszał Sobek nagle głos nad sobą.

— Ponieważ nieprzyjacielowi twemu dobrześ uczynił, więc darowaną ci jest kara twoja!

Sobek aż się spocił z radości, usłyszawszy te słowa, a gdy oczy w górę podniósł, aby obaczyć tego, który doń mówił, zdziwił się strasznie.

Obaczył bowiem nad sobą księdza proboszcza w czarnéj sutannie. On zaś sam w siwéj kapocie leżał na miękkiéj murawie, a cyrulik Hybel z Radymna klęczał koło niego, i krew mu z ręki puszczał. Żona trzymała go za głowę i szczere łzy miała w oczach, a kum Maciéj nacierał mu skronie chustką zmaczaną w occie.

Sobek podniósł rękę i otarł pot z czoła.

— Wielki Boże, pomyślał sobie, to mi się tylko śniło!

I łzy puściły mu się z oczu i ucałował rękę proboszcza, prosząc go, aby jutro wysłuchał go spo-

wiedzi i odebrał od niego przysięgę, że już więcéj pić nie będzie.

I dowiedział się biedny Sobek, że w saméj rzeczy spadł z brzegu i omal że się nie zabił, ale dzięki opiece dobrych ludzi przyszedł do siebie i ozdrowiał.

Nazajutrz zaraz, z pokaleczoną jeszcze twarzą, poszedł do kościoła i przyjął Sakrament Święty. Długo klęczał przy konfesjonale, ale co tam księdzu opowiadał, o tem nikt nie wiedział.

Młyn od tego czasu już od świtu w poniedziałek był w ruchu, a żydzi z Radymna przywozili zboże pełnemi worami. Sobek doczekał się późnéj starości i pociechy z dzieci, ale o śnie swoim strasznym nic nikomu nie powiedział. Dopiero przy końcu życia, gdym razu jednego przyszedł z wędką, aby pod młynem ryby łowić, siadł przy mnie staruszek i opowiedział mi to wszystko, co tu wam spisałem. Niech każdy z was w poniedziałek pamięta o strasznym śnie Sobka.

DOMY DLA WYROBNIKÓW W ANGLJI.

Od niejakiegoś czasu poczęliśmy naśladować Anglików; ale niestety, naśladownictwo to zasadza się na przyswajaniu albo rzeczy takich, bez których najwyborniéj obejść się można, albo nawet takich, które raczéj szkodę, niż jakikolwiek pożytek przynieść są zdolne. Bo w istocie, jakąż korzyść przynieść mogą, już nie tylko krajowi lub społeczeństwu, ale nawet pojedyńczym osobom, owe rajtroki i surduty angielskie, owe rostbify i zakalcowe ciasta, owe wyścigi i schudzone konie, owe wreszcie tysiączne drobiazgi, które w wielu oczach wówczas tylko nabierają wartości, gdy się na nich znajdzie etykieta z napisem: Londyn, Manszester lub Liwerpool? Komuż się przydać może takie naśladownictwo, czy nam, którzy na to bez potrzeby pieniądz trwonim? czy samym Anglikom, od których to właśnie pożyczamy, co oni sami najmniéj cenią? Nic tedy dziwnego, że ludzie ze wszech miar światli i rozsądni, widząc co Anglja nam dotąd dawała i daje, osądzili trochę za prędko, że nic lepszego dać nam nie jest w stanie. Że zaś o obcych narodach dotąd jeszcze powiększéj części sądziemy według sposobu zapatrywania się Francuzów, którzy nigdy z Anglików naśmiewać się nie przestaną, nie dziw tedy, żeśmy wyrobili sobie takie przekonanie, iż każdy Anglik jest excentrycznym czyli, jaśniéj mówiąc, warjatem, iż Anglja jest wielką menażerją egoistów (jakby ich u nas mniéj było), a Londyn po dziś dzień pozostaje Babilonem zbytków, obok których gnieździ się najwystępniejsza i najszkaradniejsza nędza.

Takie mniemanie nie tyle sądzonym, ile sądzącym uwłacza. Wszelka bowiem jednostronność jest chorobą umysłu, któréj zapobiegać w dziewiętnatym nadewszystko wieku, jest obowiązkiem każdego człowieka.

Że zaś Anglicy nie są wcale narodem ani tak dziwacznym, ani tak egoistycznym, ani wreszcie tak obojętnym na dolę bliźniego, moglibyśmy mnóstwo faktów przytoczyć. Z uwagi jednak na objętość niniejszego pisma, na doniosłość przedmiotu, ograniczymy się tutaj krótkim opisem wzorowych domów wyrobników angielskich.

Naprzód obejrzymy jeden z takich zakładów, (*Charles-Street, Drury-Lane*), przeznaczony wyłącznie dla wyrobników bezżennych. Jest to najpierwszy tego rodzaju zakład, utworzony z trzech domów, w jeden połączonych. Na dole znajduje się mieszkanie głównego nadzorcy i wielka wspólna sala, zaopatrzona w stoły i ławki, do któréj się schodzą wspólmieszkańcy tego domu, dla odczytania książek i dzienników, a to zarówno w dnie świąteczne, jak i podczas wielkich słot, w które pewne rodzaje robót zawiesić potrzeba. Tu też znajdują się: kuchnia, biblioteka mała ale doborowa i łazienki. Pierwsze piętro zajmują sypialnie, a raczéj obszerna sala, poprzedzielana drewnianemi przepierzeniami, na małe izdebki, około ośmiu stóp kwadratowych objętości, w których znajdują się: wygodne bardzo łóżko, krzesło i ścienna szafka. Przepierzenia te nie dochodzą sufitu, w ten sposób, że każdy mieszkaniec, obok przyjemności posiadania własnego pokoiku, tę jeszcze ma wygodę, że oddycha czystem powietrzem całéj sali. Mieści się tu ośmdziesięciu dwóch wyrobników, którzy za tę samą opłatę, jakąby przyszło wydać za nędzny barłóg, w najokropniejszym zaduchu, ciasnocie i brudach, mają tu pomieszkanie wygodne, czyste, zdrowe, światłe, słowem nic nie pozostawiające do życzenia. Nie dziw więc, że lubo ten zakład był wielką nowością, lubo został założony w najgorszym cyrkule Londynu, wyrobnicy jednak prędko zrozumieli swoją własną korzyść, i przeniósłszy się do tego domu, jakby się innymy ludźmi na świat narodzili: tak się zmiękczyły i złagodniały ich obyczaje, przedtem grube i zwierzęce.

Jakże mu miło, po całodziennéj pracy, wrócić do domu, orzeźwić się kąpielą, a przygotowawszy w kuchni filiżankę kawy lub herbaty, zapijać takową u jednego z tych stołów, któreśmy wyżéj opisali, czytając jakąż książkę lub dziennik, albo wreszcie przyzwoitą i trzeźwą zabawiając się rozmową. Biblioteka pochodzi z własnéj ich oszczędności, i zawiera dzieła przystępne treścią i istotną przynoszące korzyść. Kuchnia była tu pierwéj wspólna: gdy jednak założyciele zauważyli, że to pociąga pewne niedogodności, odtąd więc każdy przyrządza sobie lub kupuje obiad, jak się mu podoba.

Jeszcze lepiéj jest urządzony drugi tegoż rodzaju zakład, (*George-street, Bloomctury square*). Może się w niem wygodnie zmieścić sto czterech wyrobników. Każdy wyrobnik ma tu osobną izdebkę, doskonale przewietrzoną, suchą i czystą. Wygodnie i dobrze zaopatrzone: kuchnia, spiżarnia, umywalnia, łazienki i biblioteka, pozwalają mu używać wszystkich nieledwo wygód życia, za cenę tak umiarkowaną, iż najbiedniejszy wyrobnik na nią się zdobyć może.

Sala wspólna, trzydzieści trzy stóp długa, dwadzieścia trzy szeroka, około dziesięciu stóp wysoka, jest wyłożona białym kamieniem. Z każdéj strony ciągną się dwa szeregi stołów ze stołkami do siedzenia. Obok komina znajduje się rezerwoar dostarczający nieustannie wody ciepłéj. Nad kominem zaś wywieszone prawidła, do których obowiązani są zastosować się wszyscy mieszkańcy zakładu. Kamienne schody zajmują środek budynku. Zakład ten obejmuje ośm sypialni, podzielonych na małe izdebki, w ten sposób jak w poprzedzającym, z tą wszakże różnicą, że przepierzenia są ruchome, i łatwo dają się usunąć. W każdym pokoju znajduje się otwór wentylacyjny, przez który się także gaz do oświetlenia wprowadza. Tym sposobem powietrze w sypialniach zawsze jest czyste, świeże i zdrowe; że zaś każdy ze współmieszkańców i w każdym czasie może się kąpać i myć dowoli, nie dziw więc, że podczas cholery, dającéj się czuć tak okropnie ubogim miesz-

kańcom Londynu, *ani jednego* przypadku śmiertelności tutaj niedostrzeżono. Jest to fakt najwymowniéj świadczący o całéj doniosłości podobnego rodzaju zakładów.

Lecz jeżeli mężczyzna potrzebuje jakiegokolwiek schronienia, przytułku, opieki, to jakże bez porównania więcéj czuje tego potrzebę kobieta! Zakłady podobne, mądrze i umiejętnie urządzone i przeznaczone li na wyłączny użytek kobiet, nie tylkoby polepszyły fizyczny ich byt, nie tylkoby ochroniły je od wielu chorób i defektów, ale nie jednę wprowadziłyby na drogę moralności, przed nie jedną mogłyby zasłonić całą ohydę występku i skażenia. Bo ognisko domowe w uboższéj naszéj braci, jakże często jest siedliskiem fizycznego i moralnego brudu!

Dobroczynność Anglików nie zapomniała i o tych nieszczęśliwych istotach. Ze składek rozmaitych towarzystw religijnych, powstał tego rodzaju zakład: (*Gray's Inn*), który przezwano *Dziękczynieniem*. Może się w niem pomieścić dwadzieścia rodzin i sto dwadzieścia ośm kobiet. Znajduje się tu wielka publiczna pralnia i skład, zawierający sprzęty kobiet, zajmujących się przekupstwem. W głównym gmachu mieści się sto dwadzieścia ośm kobiet, po większéj części szwaczek, w sześćdziesięciu czterech pokoikach, dosyć obszernych dla pomieszczenia dwóch kobiet w każdym. Czteropiętrową tę budowlę rozdzielają środkowe schody, z obu stron których na każdem piętrze prowadzą korytarze do ośmiu pokoików, zupełnie oddzielnych. W każdym pokoiku znajdują się dwa łóżka, stół, krzesła i stolik z miednicą. Za to wszystko płaci się od osoby jeden szyling na tydzień, czyli dwa szylingi za cały pokój, dwanaście stóp i sześć cali angielskich długi a dziewięć stóp i sześć cali szeroki. To jest, licząc na naszą monetę, cały pokój tygodniowo kosztuje 2 złp. i 26 groszy, czyli rocznie 22 rubli i 36 kopiejek. Zachodzi teraz pytanie, jaki lokal może wynająć nasza wyrobnica w Warszawie za 11 i coś rubli, to jest za połowę téj ceny, bo w każdym pokoju, jakeśmy powiedzieli, najwygodniéj dwie osoby pomieścić się mogą?

Wejdźmy teraz do domu przeznaczonego dla biednych rzemieślniczych i wyrobniczych rodzin. Każde mieszkanie składa się z dwóch pokoików i alkowy; a że przeforsztowania są urządzone z cegieł wydrążonych, nieprzepuszczających głosu, każde przeto mieszkanie jest jakby zupełnie odosobnione i żadnéj łączności z sąsiedniem nie ma. Jest tu przy tem spiżarnia i rynna do wylewania pomyi i śmieci, i wszelkiego rodzaju nieczystości, w ten sposób urządzona, że dosyć jest cokolwiek w nią wrzucić i wylać, aby się na zawsze tego pozbyć. Kwadratowy dziedziniec, znajdujący się w środku zakładu, obiegają ze wszech stron zewnętrzne galerje, komunikujące z każdem mieszkaniem, z których rodzice spokojnie mogą się przypatrywać zabawom dziatek swoich, zabezpieczonych tym sposobem od pokus i niebezpieczeństw ulicznych.

Te czyste i wygodne mieszkania zajmują ludzie, żyjący przedtem w największéj nędzy, pozbawieni najpierwszych potrzeb, ludzie, o których powszechne było mniemanie, że tak już do swoich brudów i upokorzenia przywykli, iż za nieby w świecie nie przystali na ich usunięcie. Jak zaś ubogie mieszkania potężnie wpływają na wyrobienie charakterów, najlepiéj przekona następna anegdotka:

Pewnego uzdolnionego młodzieńca, który zarabiał na swe utrzymanie rysowaniem wzorów do obić papierowych, długa i niebezpieczna choroba, tak dalece pozbawiła wszelkich dochodów, że był zmuszony przeprowadzić się do jednego z tych okropnych barłogów nędzy i rozpusty, w które Londyn niedawno jeszcze obfitował. Od téj chwili stał się zupełnie innym człowiekiem; zaniedbał swój talent, stał się opieszałym w pracy, stracił wszelkie poczucie artystyczne, stronił od dawnego ogniska, zobojętniał dla żony i dzieci, wreszcie począł uczęszczać do szynków, jakby dla przyśpieszenia swéj zguby. Wówczas to dowiedział się o owych zakładach i udało mu się nająć w jednym z nich mieszkanie za tę samą opłatę jaką był obowiązany składać właścicielowi cuchnącego kąta, którego sam widok mógł już nabawić choroby. Tu, dobroczynny wpływ mieszkania dał się uczuć w całéj mocy: nie tylko że przestał próżnować, uczęszczać do szynku, ale w zupełności odzyskał talent stracony i zamiłowanie pracy.

Domy te jednak jakkolwiek nader szybko w rozmaitych cyrkułach największéj stolicy europejskiéj wznoszące się, nie mogły przecież pomieścić wszystkich ubogich ludzi, z pracy rąk żyjących. Dobroczynne tedy osoby wyjednały w 1851 roku od parlamentu bill, mocą którego najnędzniejsze mieszkania Londynu, weszły pod bezpośredni nadzór policji. Odtąd każdy właściciel pragnący wynajmować mieszkania, jest obowiązany zapisać swe nazwisko na liście policji miejskiéj, pod karą pięciu funtów szterlingów, za każdego lokatora, któregoby przyjął nie zastosowawszy się do téj formalności. Po uczynieniu takiéj deklaracji, wynajmujący dopóty nie mogą przyjąć lokatora, dopóki ajenci nie zwiedzą domu, dla przekonania się, czyli wszelkie przepisy są zachowane. Przepisy zaś te wymagają: aby ściany i sufity były wybielone; podłogi, schody, łóżka, pościel, czyste, aby pokoje były dostatecznie przewiewane i zaopatrzone w to wszystko, co jest potrzebnem do zachowania przyzwoitości i ochędóstwa; aby ścieki, rynny i rynsztoki były dobrze utrzymywane, aby dziedzińce były dobrze brukowane; aby każdy dom miał osóbną pompę lub studnię, i wreszcie, aby osoby dotknięte chorobami zaraźliwemi nie kwaterowały w prywatnych domach. Oprócz tego postanowiono, że właściciele tylko pewną liczbę osób do jednego pokoju mają prawo przyjmować, a spis ich, potwierdzony przez inspektora policji, powinien być wywieszony w każdem mieszkaniu. W jednym pokoju nie mogą się lokować osoby różnéj płci, wyjąwszy małżeństwa i dzieci młodsze od dziesięciu lat. Kuchni, pralni i piwnicy, nie wolno zamieniać na sypialnie. Każdy właściciel obowiązany dwa razy na rok pobielać ściany i sufity, oraz oczyszczać kloaki i rynsztoki, ilekroć razy policja tego wymagać będzie. W razie choroby natychmiast policja o tem powinna być zawiadomiona, a to dla ustrzeżenia się zarazy.

Przepisy te wydadzą się nie jednemu za zbyt surowe a nawet uciążliwe; zważywszy jednak jak często właściciele li tylko osobistą korzyść mają na celu, zupełnie się nie troszcząc o swoich lokatorów; zważywszy, że ciż lokatorowie nie mogą, nie umieją i nie chcą częstokroć uczynić wyboru w wyszukiwaniu dogodnych i odpowiednich wszelkim warunkom sanitarnym mieszkań; zważywszy nadewszystko, że takie urządzenia mają miejsce w Anglji, a więc w krainie najbardziéj dbałéj o wolność osobistą, przyznamy całą słuszność i konsekwentność podobnym środkom, które li tylko dobro bliźniego, mają na celu.

W ogóle trudno sobie wyobrazić, ile podobne urządzenia, a nadewszystko owe domy robotników, wpłynęły na polepszenie moralnego i fizycznego stanu biednych klass Londynu. Ulice, na których przed laty nie śmiał się pokazać człowiek porządnie ubrany bez towarzystwa komisarza policji, dziś zarówno są bezpieczne we dnie i w nocy. Wyrobnik, który niegdyś wszystkie wolne chwile, przepędzał w szynku, zalewając się szkodliwemi zdrowiu i kieszeni trunkami, dziś przepędza je pożytecznie z książką lub gazetą w ręku. Obyczaje jego złagodniały; w żonie przestał widzieć bierne narzędzie, w dzieciach uosobniony ekspens, w swoim stanie karę za grzechy, w bogatszych swych naturalnych wrogów. Domowe ognisko nabrało dlań dziwnéj ceny: w niem zapomniał że są na świecie bogatsi i szczęśliwsi odeń ludzie, w niem przestał ubolewać na swój los, w niem przypomniał o swych prawach obywatelstwa, zwrócił wdzięczną myśl ku Panu nad Pany, który zarówno siermiężną jak i bławatną swą dziatwę miłuje. I nie dziwmy się, zaprawdę tym zmianom; bo nędza, jak ołów, pociąga ludzi do grzechu, do występku. W niektórych razach hartuje ona umysł, ale jakże często wyniszcza najlepsze jego przymioty, zaszczepia w sercu jad zepsucia i nienawiści?!....

Teraz nic innego nam nie pozostaje, jak wyrazić najgorętsze życzenie, aby ta piękna strona angielskiego charakteru, to głębokie a zarazem praktyczne zamiłowanie bliźniego, jak najprędzéj i u nas naśladowców znalazły. Nie potrzeba tu wielkich ofiar i kolosalnych funduszów, dość silnéj woli, wytrwałości i prawdziwéj miłości bliźniego. A zresztą, któż wie, może podobne domy, umiejętnie i z miejscowych materjałów zbudowane, zapewniłyby szlachetnemu ich nakładcy mały wprawdzie, lecz pewny zysk? A że one nie są żadną nadzwyczajnością, trudną w naszym kraju do urzeczywistnienia, najlepiéj świadczą istniejące już w Warszawie tegoż rodzaju, choć inaczéj nieco urządzone, zakłady. *Mścisław Kamiński.*

ANEGDOTA.

— Cesarz Napeleon III, będąc niedawno wraz z Cesarzową w podróży, wstąpił do pewnéj dość ubogiéj wioski, gdzie właśnie ukończono budowę niewielkiego kościołka. Cała ludność téj wioski przyjęła z największym zapałem tych dostojnych podróżnych. Cesarz zapragnął zwiedzić kościoł i wszedłszy do niego ujrzał, że tam prawie nic w nim nie było. Dam wam kilka obrazów do pokrycia nagości ścian, powiedział cesarz do proboszcza: chceszże dwanaście stacji krzyżowych? Wasza Cesarska Mość przewyższa wszelkie moje nadzieje, odpowiedział proboszcz, robiąc ukłon. Co do mnie, odezwała się cesarzowa, biorę na siebie przyozdobienie wielkiego ołtarza i sprawienie kompletnego do Mszy Świętéj ubioru. Wasza Cesarska Mość sprawia największe szczęście pokornemu słudze swemu, odpowiedział kapłan, a po chwili dodał: A Jego Wysokość młody książę Następca tronu, jakąż pamiątkę po sobie zostawi w tym domu Bożym? Żądaj więc czego w imieniu jego, powiedziała z uśmiechem Cesarzowa. O, Wasza Cesarska Mość wie dobrze, że dzieci lubią szczękbrzęk, odpowiedział proboszcz, przeto cała parafja będzie uszczęśliwiona, jeżeli Jego Wysokość sprawi dzwony, których nam zupełnie brakuje.



A więc daléj do Karasia!.....
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Kazimierz Kuczyński).

ROZMOWA TRAGARZY PRZED KOPERNIKIEM.

„I cóż bracie?—Nędza kumie,
Ciężkie czasy, wieczna bieda;
Każdy się targować umie,
A na piwo nikt ci nie da.
Posłuż panu: „drobnych niema,"
Do roboty nikt nie wzywa,
Dzień dzisiejszy przesiedziewa,
Dolaż nasza nieszczęśliwa!.....
— „Oj tak Pawle, prawda święta,
Ja studentom posługuję,
Ależ służba to przeklęta!.....
Człek samowar zagotuje,
I oczyści te panicze,
A co od nich weźmiesz za to,
Kiedy goli jako... bicze?...
Ot zalejmy gorzką biedę,"
„Na frasunek, dobry trunek,"
Golniem oto,
— To to, to to!

Szczyrna prawda, święte słowa,
Macie racją mój Marcinie,
Jaka wasza mądra głowa!.....
Przy kieliszku bieda zginie,
Wódka jakoś cię rozgrzeje,
I kurażu krzynę doda,
Że świat cały się rozśmieje,
Jak w dzień ślubu panna młoda,
A więc daléj do *Karasia!*...

Ancewicz.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 11 (23) Sierpnia 1865 r.